

PIEKIELNA ILUSTRACJA

**THE PICTURE
IN THE HOUSE**



H. P. LOVECRAFT'S

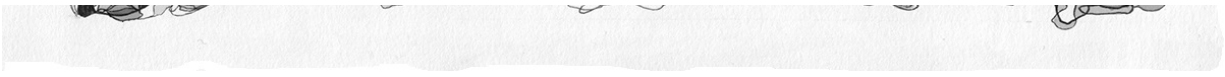
H.P. LOVECRAFT

PIEKIELNA ILUSTRACJA

(THE PICTURE IN THE HOUSE)







PIEKIELNA ILUSTRACJA

Poszukiwacze koszmarów odwiedzają dziwne, odległe miejsca. Dla nich ptolemejskie katakumby i rzeźbione mauzolea koszmarnych krain. Wspinają się na oświetlone blaskiem księżyca wieżycy nadreńskich zamków i schodzą po czarnych, pokrytych pajęczynami stopniach do uśpionych pod gruzami zapomnianych miast Azji. Nawiedzone lasy i odległe góry są ich świątyniami, krążą również wokół złowrogich monolitów na nie zamieszkanym wyspach. Prawdziwym jednak majstersztykiem horroru, gdzie przesywająca do szpiku kości zgroza jest koszmarem samym w sobie i przyczyną istnienia, są pradawne, samotne chaty farmerów w najdalszych leśnych zakątkach Nowej Anglii, tam bowiem mroczne elementy siły, samotności, groteskowości i ignorancji łączą się, tworząc istną perfekcję ohydy.

Najbardziej przerażający widok stanowią niewielkie, nie malowane, drewniane chaty stojące z dala od wędrownych szlaków, zazwyczaj na podmokłym trawiastym stoku lub przylegające do gigantycznego występu skalnego. Dwieście lat z okładem spędziły w tych miejscach, podczas gdy winorośle położyły się wokoło nich, a drzewa rozrastały się, stając się coraz bardziej strzeliste i bujne. Obecnie są prawie niewidoczne, tonąc w przepychu zieloności i bezpiecznym cieniu, niemniej okna o maleńkich szybkach wciąż gapią się w wyrazie szoku, jakby mrugały w zabójczym oświeceniu, które nie dopuszcza doń szaleństwa, tłumiąc wspomnienia niewyobrażalnych koszmarów.

W takich właśnie chatach mieszkały pokolenia dziwnych ludzi, którym podobnych świat ten nigdy nie widział. Wyznający posępne i fanatyczne wierzenia, przez które stali się wyrzutkami swej własnej rasy, ich przodkowie poszukiwali wolności w leśnych ostępach. Tu właśnie potomkowie rasy zdobywców mogli działać swobodnie, nie skrzepowani restrykcjami swych pobratymców, i oddawać się w niewolę przerażającym fantazjom ich własnych umysłów. Oderwani od zdobyczy cywilizacji, moc owych purytan skierowała się szczególnymi torami, a w skutek izolacji, okrutnych autorepresji oraz nieustannej walki z nieustępliwą naturą odezwały się w nich mroczne, dotąd ukryte cechy z prehistorycznej głębi ich zimnej, północnej spuścizny. Z konieczności praktyczni, a z natury srodzy, ludzie ci popełniali największe z możliwych grzechów. Błądząc, co wszak jest rzeczą ludzką, zostali zmuszeni swym ścisłym i surowym kodeksem, aby przede wszystkim poszukiwać schronienia, aż koniec końców zaczęli tracić zamięłowanie do tego, co przykazane mieli skrywać. Jedynie milczące, uśpione, zapatrzone chaty w lasach mogą opowiedzieć o wszystkim, co było ściśle zatajane w tym wczesnym okresie, a nie należą one do rozmownych i niechętnie przerywają kojącą drzemkę, która pomaga im zapomnieć. Czasem wydaje się, że litościwym gestem byłoby zburzyć wszystkie te chaty, muszą one bowiem często śnić.

Do jednego z takich domów, który właśnie opuściłem, przywiodła mnie w pewne listopadowe popołudnie silna ulewa; deszcz był tak zimny, że nawet najgorsze schronienie stanowiło wybawienie. Podróżowałem już od jakiegoś czasu, odwiedzając mieszkańców doliny Miscatonic w poszukiwaniu pewnych danych genealogicznych, i zważywszy na odległą, niejasną oraz problematyczną naturę mej wędrówki, pomimo nie sprzyjającej pory roku wygodniejsze okazało się dla mnie skorzystanie z roweru.

Tak oto znalazłem się na całkiem opuszczonej drodze, którą wybrałem, by dostać się skrótem do Arkham, gdy daleko od miasta złapała mnie paskudna ulewa, a jak okiem sięgnąć nie było żadnego innego schronienia prócz starej, odrażającej, drewnianej chaty, która mrugała na mnie zaspanymi oczyma okien spomiędzy dwóch pozbawionych liści wiązów opodal kamienistego pagórka. Leżący na uboczu, z dala od drogi, dom ów nie wywarł na mnie dobrego wrażenia. Szczerze mówiąc, budowle mające dobrą aurę nie łypią na wędrowców tak dwuznacznie i niepokojąco – a w moich genealogicznych badaniach napotkałem legendy sprzed stu lat, które stanowczo przestrzegały mnie przed odwiedzaniem podobnych miejsc. Niemniej siła ulewy przemogła me skrupuły i nie zawahałem się skierować mego jednoślada w górę trawiastego, zachwaszczonego wzniesienia do zamkniętych drzwi, które wydały mi się zrazu tak sugestywne i tajemnicze.

Nie wiedzieć czemu, niejako z założenia przyjąłem, że dom był nie zamieszkały, aczkolwiek gdy się zbliżyłem, nie byłem już tego taki pewien, bo choć ścieżkę przed domem porastały chwasty, nie były one dość gęste, by świadczyć, że miejsce to było całkiem opuszczone.

Dlatego też zamiast od razu pchnąć drzwi, zapukałem, a gdy to uczyniłem, ogarnął mnie niezrozumiały niepokój. Czekając na szorstkim, omszałym kamieniu służącym jako próg, zajrzałem do pobliskich okien i w szyby transomu nade mną, by stwierdzić, że choć stare, rozchybotane i niemal matowe od brudu, żadna nie była stłuczona. Budynek musiał być przeto zamieszkały pomimo swego odosobnienia i ogólnego zaniedbania. Moje pukanie pozostało jednak bez odpowiedzi, toteż spróbowałem raz jeszcze, poruszyłem zardzewiałą klamką i stwierdziłem, że drzwi były otwarte. Wewnątrz znajdował się niewielki westybul o ścianach, z których odpadał tynk, a od wejścia popłynął ku mnie słaby, lecz nader nieprzyjemny odór. Wszedłem, wprowadzając swój rower, i zamknąłem za sobą drzwi.

Przede mną wznosiły się wąskie schody z niewielkimi drzwiczkami z boków, prowadzącymi zapewne do piwnicy, podczas gdy po lewej i prawej stronie znajdowały się zamknięte drzwi do pokoi na parterze.

Oparwszy rower o ścianę, otworzyłem drzwi po lewej i wszedłem do małego pomieszczenia o niskim sklepieniu, słabo oświetlonego nawet mimo dwóch okien – szyby były bowiem brudne – którego wystrój był iście spartański, żeby nie powiedzieć prymitywny. Wyglądało to na pokój dzienny, znajdował się tu stół, kilka krzeseł oraz ogromny kominek, na obramowaniu którego tykał antyczny zegar. Książek i gazet było bardzo niewiele, a w panującym tu półmroku nie byłem w stanie odczytać tytułów. Moje zainteresowanie wzbudziła panująca tutaj, widoczna w każdym szczególe, aura archaiczności. Większość domów w tym rejonie była – jak sam stwierdziłem – pełna reliktyw przeszłości, tu jednak archaiczność sięgnęła nieomal szczytu; w całym bowiem pomieszczeniu nie natrafiłem na chociażby jeden artykuł noszący postrewolucyjną datę. Gdyby wystrój był jeszcze skromniejszy, miejsce to stałoby się istnym rajem dla zbieracza.

Rozglądając się po pokoju, poczułem narastającą we mnie awersję, którą po raz pierwszy wzbudził posępny widok fasady domu. Nie potrafiłem powiedzieć, czego się lękałem ani co wzbudziło we mnie tę odrazę – niemniej tutejsza atmosfera zdawała się przesiąknięta nieprzyjemną wonią bluźnierczej starości, odrażającego okrucieństwa i tajemnic, które powinny popaść w zapomnienie. Z prawdziwą niechęcią usiadłem i zacząłem przeglądać artykuły. Zainteresowała mnie książka średniej wielkości leżąca na stole i dotycząca rzeczy tak pradawnych, że zdziwiłem się, widząc ją tu, miast w jakimś muzeum lub bibliotece. Była oprawna w skórę, z metalowymi okuciami i doskonale zachowana – księga sama w sobie również była niezwykła i fakt, że się tu na nią natknąłem, zaskoczył mnie w dwójnasób. Kiedy ją otworzyłem na stronie tytułowej, moje zdumienie

uroślio jeszcze bardziej, gdyż okazała się ona ni mniej, ni więcej tylko białym krukiem, księgą Pifagetty dotyczącą regionu Konga spisana po łacinie na podstawie relacji marynarza Lopexa i opublikowaną w 1598 roku we Frankfurcie. Często słyszałem o tym dziele zaopatrzonym w niezwykle ilustracje braci de Bry, tak więc przez chwilę zapomniałem o zaniepokojeniu, ogarnięty nagłym pragnieniem przerzucenia stronic owego białego kruka. Ryty były naprawdę interesujące, powstałe wyłącznie na bazie wyobraźni i pobieżnych opisów. Przedstawiały Negrów o białej skórze i kaukaskich rysach – zapewne niedługo zamknąłbym wolumin, gdyby zwykły zbieg okoliczności nie ożywił we mnie uspiętego niepokoju i nie pobudził uspokojonych nerwów. Rozdrażniło mnie to, iż księga otworzyła się – niejako samorzutnie – na tablicy dwunastej przedstawiającej w upiornych szczegółach rzeźnię kanibali Anziques. Moja wrażliwość ucierpiała nieco, gdy usiłowałem potraktować pobieżnie upiorny rysunek, który przyciągał mnie z niepokojącą intensywnością, zwłaszcza w połączeniu z krótką adnotacją dotyczącą szczegółów kuchni Anziques.

Odwróciłem się w stronę najbliższej półki i przejrzałem jej skąpą zawartość; Biblia z osiemnastego wieku, Pilgrim Progress z tego samego okresu, ilustrowane groteskowymi drzeworytami i wydane przez twórcę almanachów Izajasza Thomasa, nadgniła Magnolia Christi Americana Cottona Mathera i kilka innych ksiąg równie starych jak tamte. Nagle mą uwagę przykuł niemożliwy do pomylenia odgłos kroków w pokoju powyżej. W pierwszej chwili zdumiony i zaskoczony, zważywszy na fakt, że moje wcześniejsze pukanie do drzwi pozostało bez odpowiedzi, natychmiast domyśliłem się, że gospodarz musiał dopiero co się obudzić z głębokiego snu, toteż z mniejszym już zaskoczeniem przysłuchiwałem się krokom na trzeszczących drewnianych schodach. Stąpienie było ciężkie,

aczkolwiek osobliwie ostrożne, co, zważywszy na ciężki chód, wydało mi się trochę niepokojące. Kiedy wszedłem do pokoju, zamknąłem za sobą drzwi. Teraz, po chwili ciszy, kiedy gospodarz mógł oglądać mój rower pozostawiony w holu, usłyszałem gmeranie przy zamku i ujrzałem, że panelowe odrzwia otwierają się ponownie.

W progu stanął osobnik o tak szczególnym wyglądzie, że gdyby nie zasady dobrego wychowania, bez wątpienia krzyknąłbym w głos. Stary, siwobrody i odziany w łachmany gospodarz swą postawą i wyglądem wzbudzał zarazem szacunek i zdumienie. Musiał mieć dobrze ponad sześć stóp wzrostu i pomimo podeszłego wieku oraz ubóstwa wciąż wydawał się silny i potężny. Jego oblicze nieomal nikło pośród długiej, gęstej brody porastającej policzki, które wydawały się nienaturalnie rumiane i mniej pomarszczone, niż można by się spodziewać. Na wysokie czoło mężczyzny spadała kaskada siwych włosów, nieco tylko przeredzonych przez lata. Jego niebieskie oczy, choć odrobinę przekrwione, zdawały się niewytłumaczalnie bystre, czujne i przenikliwe.

Pomimo upiornego, niechlujnego wyglądu mężczyzna wywarł na mnie piorunujące wrażenie. Jego abnegacja czyniła go odpychającym i natarczywym. Nie potrafię stwierdzić, w co był odziany, aczkolwiek w moim mniemaniu ubiór jego stanowiła masa strzępów i łachmanów sięgających aż do cholewek wysokich, ciężkich butów; brak zamiłowania tego mężczyzny do czystości był niemal nie do opisania.

Jego wygląd oraz wzbudzony przezeń instynktowny strach przygotował mnie na pewne przejawy wrogości, dlatego też nieomal zadrzałem, zdumiony i poruszony niesamowitą absurdalnością, kiedy gospodarz wskazał mi krzesło i odezwał się do mnie głosem pełnym uniżonego szacunku i zachęcającej gościnności. Mówił bardzo dziwną i rzadką odmianą jankeskiego dialektu, który, jak sądziłem, od dawna już był nie

używany – przysłuchiwałem się uważnie, kiedy usiadł naprzeciwko mnie, nawiązując rozmowę.

– Dyszcz pana ułapił, co ni? – rzucił na powitanie. – Dobrze, co był pan blisko chałupy i nie zbyło panu oleju we w głowie, co by tu wnijść. Chyba żem uciół komara, bo żem pana nie usłyszał – nie jezde już taki młody, muszem co dnia przysypiać wiela czasu jak nimowle. A pan gdzie się udai? Nie widuje żem sporo ludzi na tej drodze, odkąd pobudowali szos do Arkham.

Odparłem, że udawałem się do Arkham, i przeprosiłem za moje wtargnięcie do jego chaty, po czym mężczyzna podjął swój monolog.

– Cieszem się, co pana tu widzę, młodzieńcze, rzadko bywi, co chtoś tu się pokazui, ostatniemi czasy mało je rzeczy, coby sprawiali mię radość. Jak mię się wydai, jesteś pan z Bostingu, co? Nigdy żem tam nie był, ale na pierwszy rzut oka potrafię poznać miastowego – w łosiemdziesionym czwartym mieli my tu łokrengowego nałuczyciela, ale nagle zrezygnował z roboty i jak wsiunk dzieś, nikt go już po tym nie uwidzial. – Tu stary nagle zachichotał, a gdy poprosiłem go o wyjaśnienie przyczyny owej wesołości, nie odpowiedział. Wydawał się w wyśmienitym humorze, acz jego zachowanie musiało być wynikiem pustelniczego trybu życia. Przez pewien czas paplał nieomal gorączkowo, gdy wtem, nie wiedzieć czemu, zapytałem go, w jaki sposób zdobył tak rzadką księgę jak Regnum Congo Pifagetty. Wciąż nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na mnie ów wolumin, i gdy zacząłem o nim mówić, uczyniłem to nie bez wahania. Ciekawość jednak przemogła wszystkie niejasne lęki, które stopniowo narastały we mnie, odkąd po raz pierwszy ujrzałem ten stary dom. Poczulem ulgę, stwierdziwszy, że pytanie nie okazało się nietaktowne, gdyż starzec odpowiedział na nie swobodnie i z emfazą.

– A, ta ksiunżka p Efryce? Kapitan Ebenezer Holt sprzedał mnie ją w sześćdziesiątym ósmym – tyn, co potym zginął we wojnie.

Coś, być może imię Ebenezera Holta, sprawiło, że gwałtownie uniosłem wzrok. Napotkałem je już wcześniej podczas mych prac genealogicznych, ale ani razu nie natknąłem się nań po rewolucji. Zastanawiałem się, czy gospodarz mógłby dopomóc mi w zadaniu, nad którym właśnie pracowałem, i postanowiłem zapytać go o to później. Mówił dalej.

– Ebenezer łod lat pływał na statkach handlowych ze Salem i we w każdym porcie widział rozmaite, dziwne rzeczy. Wziun to gdzieś we w Londynie, jak mię się wydai, lubił kupywać takowe rzeczy w sklepach. Byłżem raz w jego domie na zgórze, coby pohandlować, i właśnie tedy zobaczyłem te ksiunżke. Jakżem pobaczył rysunki, od razu zachciałem ją mieć. I wymienił się ze mno. To je dziwna ksiunżka – daj jom pan, dzie som moje patrzyły. – Starzec zaczął gmerać wśród łachmanów, wydobył parę brudnych i zdumiewająco starych okularów o niewielkich, ośmiokątnych szklach i stalowych oprawkach. Nałożywszy je, sięgnął po leżący na stoliku wolumin i pieczołowicie zaczął przewracać stronice.

– Ebenezer umiał trochie czytać po ty... po łacinie, ja nie umie. Miałżem dwu czy czech nauczycieli, co mię próbowali nałuczyć, a Paster Clark, tyn, co mówili, że siem łutopił w stawie – umiesz pan coś ze z tego wyrozumieć?

Odparłem, że tak, i przetłumaczyłem jeden z pierwszych akapitów z początku książki. Nawet gdybym się pomylił, nie miał dość wykształcenia, by mnie poprawić, i wydawał się zadowolony jak dziecko z mego przekładu. Jego bliskość napawała mnie odrazą, ale nie wiedziałem, jak mam się od niego uwolnić, jednocześnie go przy tym nie urażając. Bawiło mnie jego dziecinne wręcz umiłowanie, jakie żywił do rysunków w książce, której nie potrafił przeczytać. Zastanawiałem się, czy w ogóle znał angielski

i czy przeczytał którąś z nielicznych angielskich książek znajdujących się w tym pokoju.

Ta demonstracja prostoty usunęła w cień nieokreślone lęki, jakie mnie dręczyły, i uśmiechnąłem się, podczas gdy mój gospodarz mówił dalej:

– To dziwne, jak łobrazki mogom pływać na luckie myślenie. Weźmy tyn, ło z przodu. Widział pan kiedy drzewa jak te, ło tu, z wielkimi listyama chłopoczącymi we w górę i na dół. A te ludzie – to nie mogom być Murzyni – one som najlepsze. Trochie jak Indjanie, jak się mnie wydai, ale pochodzom ze z Efryki. Niechtórzy z nieich wyglondajom jak mały albo półludzie, ale o takim jak tyn jeszcze zem nie słyshał.

Wskazał na bajeczny twór artysty, który można by opisać jako smoka z łbem aligatora.

– Tera pokazem panu same najlepsze – to je gdzieś we w samym środku.
– Głos mężczyzny stał się nieco bardziej ochrypły, a w jego oczach rozblęły jaśniejsze iskierki. Dłonie, choć wydawały się jeszcze bardziej niezgrabne niż dotychczas, pochłonięte były tylko jednym celem. Książka rozłożyła się niemal samoistnie, jak gdyby często otwierana była właśnie w tym miejscu – na odrażającej dwunastej tablicy ukazującej rzeźnię kanibali Anzique. Powróciło uczucie niepokoju, ale nie dałem tego po sobie poznać. Najdziwniejsze było, że dzięki inwencji artysty Afrykanie wyglądali jak biali – kończyny i ćwierci wiszące na ścianach ubojni były wręcz upiorne, rzeźnik zaś, zaopatrzony w toporzysko, osobliwie rażący. Pomimo iż mój gospodarz zdawał się uwielbiać ów rysunek, mnie wydawał się nieodmiennie odpychający.

– I co pan o tym myślisz – nigdy żeś pan nie widział czegoś takiego, co ni? Kiedy zem to zobaczył, powiedziałem Ebowi Holtowi: „Łod czegoś takiego aże skóra cierpnie, a krew mrozi siem w żyłach”. Kiedy przeczytałem we w Piśmie o rzezi – jak o tyj rzezi niewiniątek – to sporom

o tym myślał, ale nie potrafiłem sobie tego wyłobrazić. Tu szystko widać, jako jest i basta – po prawdzie to chyba grzech, ale czyż wszyscy nie rodzimy siem we w grzechu? Tyn porąbany gość sprawia, że czujem zimne ciarki za każdą rażą, jak na niego spoglondam – a nie chcem, ale muszem – widzisz pan, jak tyn rzeźnik łodrąbał mu obie stopy? Jego głowa na tamty ławie, jedna renka z boku i druga na pieńku do rombania mięs.

Kiedy mężczyzna mamrotał w wyrazie szokującej ekstazy, jego owłosione, przyozdobione okularami oblicze było niemożliwe do opisania, ale głos, miast przybierać, raczej tracił na sile. Moich własnych odczuć raczej nie potrafię określić. Cała groza, którą wcześniej ledwie odczuwałem, runęła na mnie tak silną i żywą falą, że odraza, jaką żywiłem wobec tej prastarej, obrzydliwej istoty, urosła do niewyobrażalnych rozmiarów. Jego szaleństwo lub przynajmniej częściowa perwersja wydawały się niezaprzeczalne. Teraz mówił prawie szeptem, który jednak wydawał się bardziej przerażający od krzyku, i słuchając go, przeszły mnie dreszcze.

– Ta jak mówię, to dziwne, jak łobrazki mogom pływać na luckie myślenie. Wiesz, młody panie, mówiem tera o tym ło, tutaj. Kiedy już wyhandlowałem ty ksiunżke łod Eba, często zem ją przyglondał, zwłaszcza po tem, jak słyssałem Pastera Clarka prawioncego w niedziele we swy wielki peruce. Raz sprobował–zem czegoś zabawnego – tylko coby siem pan nie przeraził, młody panie – wszystko, com zrobił, to spojrzalem na rysunek przed zabiciem owcy na targ – zabicie owcy było o wiela zabawniejsze po tem, jakzem przykikował na tyn łobrazek... – Ton starca stał się jeszcze słabszy, czasami słowa były wręcz niesłyszalne. Przysłuchiwałem się odgłosom deszczu, dudnieniu kropel o małe, niemal nieprzejrzyste szybki, a mą uwagę zwrócił niezwykle, jak na tę porę roku,

huk grzmotu. Raz przeraźliwy błysk i łoskot grzmotu niemal zatrzęsły domem aż do fundamentów, ale szepczący starzec nawet tego nie zauważył.

– Zabicie owcy było stokroć bardziej zabawne – ale wiesz pan, nie dość satysfakcjonujące. Dziwne, jak łobrazek i pragnienie może wziąć człowieka we w karby. Na miłość Boga Łojca, młody człowiecze, nie mów to nikomu, ale przysiengam się na Pana Naszego, że tyn rysunek łobudził we mnie głód wiktuałów, których nie można wyhodować ani normalnie kupić – ejże, siedź ino spokojnie, coś panu dolega? Nic zem nie zrobił, zastanawiałem się tylko, jak by to było, gdybym się zdecydował. Mówią, że mięso tworzy krew i ciało, że dai nam nowe życie – a ja zacząłem się zastanawiać, czy człowiek nie mógłby przedłużyć sobie życia, jedząc stale to samo... – Szepczący nie zdołał jednak dokończyć. I to nie przez mój lęk ani gwałtownie przybierającą na sile burzę, której wściekłość mogłem podziwiać na własne oczy, kiedy je w końcu otwarłem w przesyconej dymem samotności wśród poczerniałych ruin. Sprawilo to coś absolutnie niesamowitego.

Otwarta księga leżała pomiędzy nami, z rysunkiem łypiącym obrazoburczo ku górze, a kiedy starzec wyszeptał słowa: – Stale to samo... – rozległ się delikatny, niemal niedosłyszalny plusk i coś rozprysło się na pożółkłym papierze rozłożonego woluminu. Pomyślałem, że to deszcz, ale przecież jego krople nie są czerwone. Mała czerwona kropla błyszczała wyraźnie na rysunku przedstawiającym rzeźnię kanibali Anzique, dodając upiornemu sztychowi jeszcze bardziej posępnego i przerażającego wyrazu. Starzec dostrzegł to i zamilkł, zanim jeszcze nakłonił go do tego wyraz zgrozy przepełniający moje oblicze; ujrzał to i pospiesznie uniósł wzrok ku pomieszczeniu, które opuścił przed godziną. Podążyłem za jego spojrzeniem i ujrzałem tuż nad nami, na tynkowanym, starym suficie wielką, nieregularną plamę wilgotnego szkarłatu, która powiększała się na

moich oczach. Nie krzyknąłem ani nawet nie drgnąłem, a jedynie zmrużyłem powieki. W chwilę później rozległ się przeraźliwy ryk, huk tysięcy zespolonych gromów. Potężny piorun trafił prosto w przeklęty dom pełen niewypowiedzianych tajemnic, przynosząc zapomnienie, dzięki któremu pozostałem przy zdrowych zmysłach.